

Kolonializm made in England – 6

14 kwietnia 2018

Władze celowo pozostawiły lukę w przepisach, bo żadna ustawa nie nakazywała prowadzenia ewidencji odebranych dzieci.

Początkowo niektórzy co bardziej skrupulatni pastorzy ją prowadzili na własną rękę, ale zdarzało się to bardzo rzadko i tylko we wcześniejszych czasach, gdy szkoła i przytułek były prowadzone przez misje. Niektóre z tych ewidencji istnieją do dzisiaj w archiwach i dzięki nim rodziny mogły się odnaleźć po wielu latach. Jednakże z chwilą wydania oficjalnych ustaw i zorganizowania sierocińców prowadzonych przez świeckich „profesjonalistów”, prowadzeniem jakiegokolwiek ewidencji przestano sobie zawracać głowę.

Dziecko było przewożone do odległej „instytucji” i najczęściej przechodziło przez wiele rąk podczas długiej podróży. Czytając o „podróży” nie wyobrażajmy sobie, że dziecko wsiadło do pociągu z opiekunką na jednej stacji i po kilkunastu godzinach wysiadło w miejscu przeznaczenia. Podróż trwała tygodniami i miesiącami, różnymi środkami lokomocji i pod opieką różnych, najczęściej przygodnych ludzi, którzy akurat jechali w tamtą stronę. Czekanie na „okazję” trwało czasami parę tygodni i wtedy dziecko było przetrzymywane w celi aresztu jakiegoś miasteczka po drodze i żywione odpadkami. Ponieważ imię dziecka nic nie mówiło „opiekunom”, a przeważnie było dla nich nie do wymówienia, każdy z nich nadawał mu inne imię w zależności od upodobań.

Wraz z dzieckiem powinno było wędrować jakieś pismo, dokument podający jego prawdziwe imię, miejsce urodzenia, wiek, imiona rodziców, nazwę plemienia itd. Ale przecież dzieci odbierano siłą, wrywając je z rąk zrozpaczonych, wrzeszczących matek. Któż w takim tumultcie myślał o zapisywaniu danych? W momencie

odebrania dziecko stawało się bezimienną „rzeczą” odebraną bezimiennym, „jakimś tam Aborygenom”, z jakiegoś tam plemienia. Jeśli po drodze dostało imię od przygodnego opiekuna, pod takim imieniem przyjmowane było w sierocińcu, a jeśli przełożonej ono nie pasowało, zmieniała je na inne.

To celowe zaniedbanie spowodowało, że młody chłopiec lub dziewczyna po wypuszczeniu z zakładu nie mieli żadnych szans na odnalezienie rodziny. Żadne z nich nie wiedziało nawet, z którego rejonu Australii pochodzi. Wyrzucane były za bramę, gdy osiągnęły 16 lub 18 lat bez żadnego zabezpieczenia, pieniędzy i widoków na przyszłość. Jeśli zakład był w jakimś małym skupisku białych, na przykład w miasteczku otoczonym farmami, mogli liczyć na jakąś dorywczą, sezonową pracę, najczęściej najniżej płacną. W wielkich miastach jak Sydney, Melbourne, Perth, Adelajda lub Brisbane pracy dla nich nie było i gdziekolwiek poszli, zatrzaskiwano im drzwi przed nosem. Sierocińce co roku wyrzucały tysiące młodzieży aborygeńskiej, która nie miała gdzie iść i nie wiedziała co robić, nie miała gdzie mieszkać i nie miała co jeść. W ten sposób zrodziła się klasa miejskich aborygeńskich włóczęgów, koczujących w parkach, nocujących pod mostami i w publicznych toaletach. Alkohol, narkotyki, kradzieże, bójki i inne przestępstwa stały się nieuniknionym następstwem celowych niedopatrzeń i zaniedbań rządów i organizacji społecznych.

Rodzice nigdy nie wiedzieli, w którym kierunku i do jakiego miejsca wywożone są ich dzieci. Wszelkie poszukiwania były z góry skazane na niepowodzenie, bo Aborygeni nie mieli dawnej swobody poruszania się po kraju. Na drodze były farmy, gdzie byli witani salwą z rewolwerów, miasteczka pełne wrogo nastawionych białych oraz policjantów, którzy chcieli wiedzieć, czego ten „obcy czarnuch” szuka w tej miejscowości. Nie mieli możliwości uzyskania jakiejkolwiek informacji, bo nikt im ich nie chciał udzielać, a poza tym takie informacje nie istniały. Niektórzy zwracali się do duchownych i piśmiennych zaprzyjaźnionych farmerów, którzy pisali listy w

ich imieniu, ale rezultat zawsze był taki sam – albo w ogóle nie było odpowiedzi, albo pisano zgodnie z prawdą, że nic o takim dziecku nie wiadomo. Chytra „luka w przepisach” spowodowała, że dziecko wpadało jak kamień w wodę. Dopiero w ostatniej dekadzie XX wieku poszukiwaniem rodzin zajęły się niektóre organizacje, ale ich działalność do dzisiejszego dnia jest Niemrawa i mało efektywna i faktycznie niewiele rodzin odnalazło się po latach.

W przypadku dzieci pochodzących ze związków mieszanych, urodzonych albo w wyniku gwałtu, albo dobrowolnego „wzięcia sobie kobiety” z jakiegoś plemienia[1], od ostatnich dekad XIX w. do lat 1970. odbieranie ich było regułą. Powstała koncepcja, że dzieciom półkrwi należy dać szansę dalszego rozbielania skóry i tym samym wtopienia się w „normalne”, tzn. białe społeczeństwo Australii. Formy realizacji tego pomysłu bywały różne. Dzieci zawsze przechodziły początkowo przez sierociniec, z którego bywały adoptowane przez bezdzietne białe rodziny. Dotyczyło to głównie dziewcząt, rzadko kiedy chłopców. Dzieci, które nie zostały zabrane do rodzin zastępczych, przebywały dalej w tym samym sierocińcu lub były przenoszone do innych zakładów. Tam chłopców przygotowywano do pracy na farmach, na budowach i w fabrykach, zaś dziewczynki na ogół do roli służącej. Jednakże w rodzinach zastępczych dziewczęta nie były traktowane jak córki, lecz od najmłodszych lat były darmowymi służącymi, zaś po osiągnięciu pełnoletności opiekunowie znajdowali im koniecznie białych mężów. W ten sposób następne pokolenia były już „1/4 krwi”, „1/8 krwi” itd., tworząc najniższe klasy białego społeczeństwa, tak samo dyskryminowane jak pełnej krwi Aborygeni.

Oczywiście w przypadku odbierania dzieci mieszanych jeszcze bardziej skrupulatnie dbano, żeby żadna ewidencja nie istniała. Taka młodzież była bezpowrotnie stracona dla aborygeńskiej społeczności, bo nie znała swojego miejsca pochodzenia, rodziców, plemiennego języka i aborygeńskich obyczajów. O przynależności do niższej klasy świadczył tylko

ich coraz jaśniejszy kolor skóry, chociaż wielu innych charakterystycznych aborygeńskich cech nie udaje się tak łatwo zatrzeć i wprawne oko od razu wychwytyje pochodzenie takiego człowieka.

Koniec XIX i początek XX wieku to zakrojona na szeroką skalę batalia o czystość rasy. Oczywiście białej, anglosaskiej rasy. Zaczęto się obawiać, że mieszane związki mogą zabarwić skórę australijskiego białego społeczeństwa oraz wnieść do niego niepożądane elementy kultury aborygeńskiej. Zabieranie dzieci miało na celu objęcie kontrolą nowych pokoleń rodzących się w aborygeńskich plemionach, czyli wynarodowienie ich poczynając prawie od kołyski. Dorosłym należało pozwolić na degenerację, zestarzenie się i wymarcie, co próbowano osiągnąć poprzez spychanie plemion na tereny, gdzie nie było pożywienia i wody oraz wysiedlanie na tereny innych plemion w nadziei, że wybiją się nawzajem.

Częściowo „ucywilizowanym” Aborygenom zgromadzonym w rezerwach i misjach należało zapewnić odpowiednie (czyt. poniżej wszelkich standardów) warunki i dostarczyć jak najwięcej alkoholu. Często się zdarzało, że zarobek Aborygenów zatrudnionych na farmach, przy karczowaniu buszu i w kopalniach był częściowo wypłacany w postaci rumu, piwa i tytoniu. Mieszkańców należało dalej rozbielać do momentu aż nie będą się już niczym wyróżniać i będą gotowi do wtopienia się w białe społeczeństwo. Ale nie wolno było dopuścić do przypadków „czernienia” społeczeństwa, tzn. związki pomiędzy mieszkańcami a Aborygenami pełnej krwi były surowo zabronione. Pod koniec pierwszej połowy XX wieku dopuszczono związki pomiędzy mieszkańcem a białą kobietą, zaś mniej więcej w latach 1970. wprost zaczęto „nagradzać” białe kobiety za związki z mężczyznami posiadającymi domieszkę aborygeńskiej krwi, wypłacając podwyższone zasiłki rodzinne na urodzone z takiego związku potomstwo. Ten ostatni system istnieje do dzisiaj.

Pierwszym kłamstwem oficjalnych (czyt. białych) źródeł jest mocno zaniżony okres trwania procedury odbierania dzieci,

który rzekomo trwał od 1869 do 1969 roku, czyli równe sto lat. W 1869 roku w Wiktorii powstał pierwszy akt prawny, zwany Aboriginal Protection Act (czyli akt ochrony Aborygenów), przy pomocy którego zalegalizowano to, co było praktykowane od pierwszych lat XIX wieku na rozszerzających się coraz bardziej terenach osadniczych, biorąc „z sufitu” datę pierwszych przypadków odbierania dzieci. Jednakże aborygeńskie źródła podają, że rozpoczęcie procederu datuje się na początek XIX w., a nawet wcześniej, na ostatnią dekadę XVIII w., gdy zaczęto organizować misje chrześcijańskie i szkoły dla dzieci.

Autorstwo: Piotr Listkiewicz

Źródło: pl.SputnikNews.com

CIĄG DALSZY NASTĄPI

PRZYPIS

[1] Zazwyczaj takie związki były bardzo nietrwałe, nigdy nie były formalnie zawarte i trwały od paru tygodni, do kilku miesięcy, dopóki farmerowi lub kowbojowi kobieta się nie znudziła. Najczęściej związek się kończył, gdy zaszła w ciążę. W niektórych przypadkach była odwożona z powrotem do plemienia, ale o wiele częściej była wyganiana i pozostawiana swojemu losowi. Jeśli nie potrafiła znaleźć swojego plemienia, dziecko było zabierane do jednego sierocińca, a matka – jeśli była nieletnia – trafiała do innego.